

Olbrzymi nosorożec, zastrzelony przez księcia Yorku z odległości 30 kroków. Fotografję tę udało się zrobić przed atakiem nosorożca na myśliwych. Zdjęto go z odległości 60 kroków. Fotografja ta wprawiła w furję olbrzyma. Gdyby nie celny strzał, który powalił zwierza prawie u nóg księcia Yorku, polowanie to mogło się skończyć katastrofą.



Na Pamirach i w pustyni Raskiemu.

W roku 1889 Towarzystwo Geograficzne w Petersburgu poruczyło mi zbadanie Kafiristanu, czyli krainy niewiernych, Europejczykom zupełnie nieznanej, a znajdującej się na południowych zboczach Hindukusza. Według doniesień pundytów (wywiadowców rządu angielskiego w Indjach, rekrutujących się z odpowiednio przygotowanych krajowców), którzy także nie mogli się dostać do Kafiristanu, a doniesienia swoje robili na zasadzie wiadomości zebranych w krajach przyległych, Kafirowie, albo Siach-pusze (czarno-głowi), stanowili zupełnie osobny naród, który pomimo, że był zewsząd otoczony nawałą muzułmańską, umiał się obronić przed wojowniczymi sąsiadami i zachował nietylko niepodległość, lecz i odrębną religję, wskutek czego sąsiedzi-muzułmanie—nazywali go Kafirami t. j. niewiernymi. W wypadku, gdyby sytuacja polityczna tamtejszych miejscowości nie pozwoliła dotrzeć do Kafiristanu, — miałem przez Pamiry spuścić się w dolinę rzeki Raskiemu, zbadać północne zbocza pasma gór Himalajskich, przeciąć karawanną drogę z Indji do Chin przez niebotyczną przełęcz Karakorum i przedostać się od strony zachodniej do Tybetu.

Środki pieniężne na tę podróż ofiarował z własnej szkatuły carewicz Mikołaj, późniejszy cesarz Mikołaj II.

Propozycję przyjąłem, gdyż ówczesnym władcą północnego Afganistanu, przez który najłatwiej mogłem się dostać do Kafiristanu, był brat emira afgańskiego, Ischak Chan, na którego pomoc i poparcie mogłem liczyć w zupełności.

Otrzymawszy z Towarzystwa Geograficznego chronometry i niezbędne w podróży przyrządy do obserwacji astronomicznych, barometrycznych i meteorologicznych, pospieszyłem do Margiellanu, stolicy Fergany, gdzie stale mieszkałem, celem ostatecznego sformowania ekspedycji, — a 1 czerwca wyruszyłem już w podróż, mając ze sobą Orenburskich kozaków, 4 krajowców i preparatora Niemca. Cała tedy ekspedycja razem ze mną składała się z 13 doskonale uzbrojonych ludzi, oraz czterdziestu wierzchowych i jucznych koni.

Przeciąwszy pasmo gór Ałajskich przez przełęcz Tengiz Brajską (3903 m.) zeszliśmy w dolinę Wielkiego Ałaju. Pasmo gór Zaałajskich było jeszcze zawalone śniegiem, który topniał. — Konie zapadały w śniegi, potoki górskie wezbrały i przedrzeć się przez to pasmo gór do Szuguanu okazało się niemożebnością. — Wróciliśmy więc w dolinę Wielkiego Ałaju i po zastąpieniu pokaleczonych koni nowemi — poszliśmy okrężną drogą, przez podległe Bucharskie bekstwa Karategien i Wachję, rozdzielone wiecznie-śnieżnem pasmem gór Piotra Wielkiego. Alpejska strefa tych gór od strony Wachji pokryta wspaniałemi łąkami, daje schronienie licznym stadom dzikich kóz, za któremi idzie wilk, bars i pantera. Spiesząc w stronę Hindukusza—polowałem o tyle, o ile zwierzyna trafiała się po drodze, lub też wymagała tego konieczność zaopatrzenia ekspedycji w prowiant.

Przeszedłszy jeszcze jedno pasmo wiecznie śnieżnych gór Darwazkich przez przełęcz Gussan (3640 m.) 7 lipca weszliśmy do stolicy Darwazu miasta Kała-i-Chumb (1348 m.). — Tu dopiero dowiedziałem się o zmianach, jakie zaszły w sąsiednim Czar-wilajecie (cztery prowincje) północnego Afganistanu. — Okazało się, że rząd rosyjski, pomógłszy przed rokiem Ischak Chanowi wydobyć północny Afganistan z pod władzy emira Abdurachmana,*) — nie dotrzymał obietnic i nie zaopatrzył go w broń nowoczesną, a szczególniej w działa, których Ischak Chan nie miał zupełnie. Tymczasem emir Abdurachman, uzbrojony przez anglików, jak tylko Hindukusz oswobodził się od śniegów, przeszedł z wojskiem do północnego Afganistanu i rozbił Ischak Chana, który schronił się do

*) Patrz „Kurjer Poranny“ Nr. Nr. 192 i 197 ub. r. „Z dziejów rywalizacji Rosyjsko-Angielskiej w Azji“.

Samarkandy. Poczęła się straszna rozprawa ze stronnikami Ischak Chana. Bogaty i ożywiony kraj zmieniał się w pustynię.

Nie mogąc więcej liczyć na pomoc Ischak Chana — napisałem list do Głównodowodzącego Afgańskiemi Wojskami Sza-Seid Dzarnejla, prosząc o przepuszczenie ekspedycji przez Badachszan do Kafiristanu. List ten wysłałem przez specjalnego posłańca, a sam pospieszyłem drogą biegnącą w dolinie Piandża (źródła rzeki Amu-Darji) w stronę Pamirów, gdzie ogromne (10.000 kw. kilom.) i pustynne płaskowzgórze zapewniało większą swobodę w ruchach ekspedycji. Droga wzdłuż rzeki Piandża wije się wąziutką scieżką nad przepaściami i rzeką, często balkonami zupełnie prymitywnemi, przekonaliśmy się, że tragarze darwazcy uciekli, nawet nie odebrawszy zapłaty. Zostaliśmy więc sami, bez możności posuwania się naprzód. Kazałem tedy szybko zwinąć obóz, i cała nasza ekspedycja cofnęła się w dolinę Wańcza. Po paru dniach, przez bardzo wysoką przełęcz Sytargi (4627 m.) miejscami po lodowcach, zeszliśmy do leż letnich legendarnego rozbójnika pamirskiego Sachib-Nazara, do miejscowości Ku-dara.

Sachib-Nazar był stropiony niespodziewanym zjawieniem się kozaków, a będąc przekonany, że to jest tylko awangarda większego oddziału—przyjął nas bardzo gościnnie. Nie wyprowadzałem go z błędu. Sprzedał on mi wówczas nieco mąki, kaszy i soli, oraz na moją interwencję oswobodził



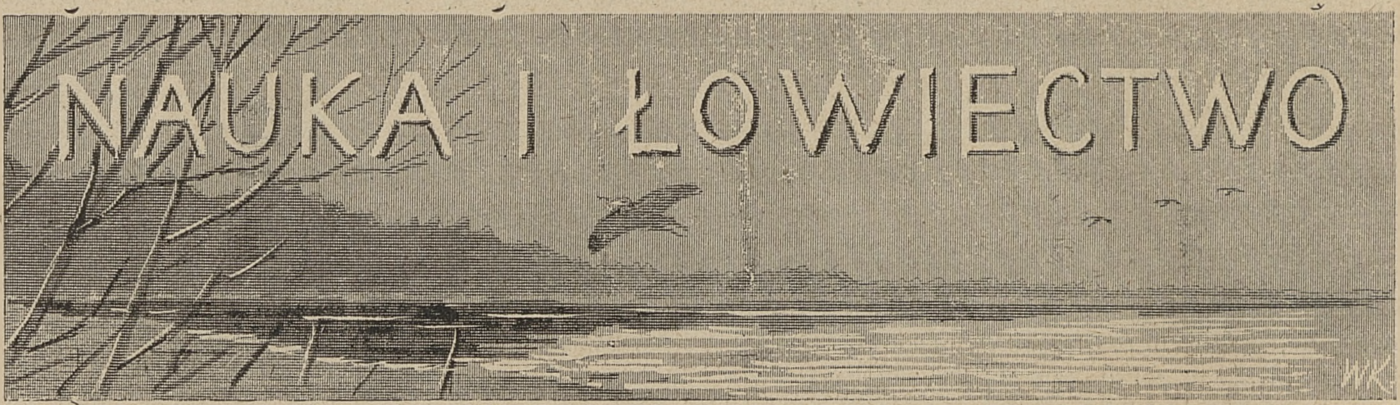
Jezioro Jaszyl kul w górach Piotra Wielkiego, na prawo pole żółtych irysów.
(*Zdjęcie Gen. Grąbczewskiego*)

po których ekspedycja mogła przejść tylko dzięki pomocy Darwazkiego Beka, który dostarczył tragarzy do przenoszenia w trudnych miejscach juków ekspedycji i przeprowadzenia koni. 20 lipca doszliśmy do ujścia rzeki Wańcz, gdzie otrzymałem list od Sza-Seid Dzarnejla, że prośbę moją odesłał do Abdurachman Chana i o odpowiedzi zakomunikuje, lecz dalej przepuścić mnie nie może i prosi by nie zmuszać go do użycia siły. Rzeczywiście wkrótce zobaczyliśmy oddział afgańskiej kawalerji w silę 50 — 60 koni, który rozmieścił się na lewym brzegu Piandża naprzeciw naszego obozu, a że dolina w tem miejscu miała szerokości jakieś parę set metrów, więc nietylko mogliśmy obserwować siebie wzajemnie, lecz pomimo ogromnego huku rzeki, która szalonym pędem rwała po kamieniach, dobrze słyszeliśmy okrzyki wartowników afgańskich „habardor" (uważaj). O świcie afgańskiego oficera Mastona, który wpadł w niewolę i rok już jako niewolnik, pasł u niego bydło. Obdarowawszy Sachib-Nazara i rozstawszy się z nim po przyjacielsku, ruszyłem dalej w stronę Pamirów, — t. j. na południe.

Nakoniec w pierwszych dniach sierpnia doszedłem do rzeki Murg-Ob, (ptasia woda) która w górnej części swojej nosi nazwę Ak-su (biała woda) i stanowi właściwe źródło Amu-Darji. Rzeka była jeszcze wezbrana powodzią wiosenną, brodu nigdzie nie było i musieliśmy przeprawić się wpław, co z ciężkim bagażem i na wycieńczonych koniach przedstawiało szalone trudności. W kilka dni potem, przez przełęcz Mardżanaj (4849 met.) wyszliśmy na Aliczur Pamir nad jezioro Jaszyl-Kul (3892 met. sz. pow. morza).

(d. c. n.).

Gen. Bron. Grąbczewski



MONOGRAFJA SŁONKI.

ODEZWA DO PP. MYŚLIWYCH.

Pisząc obecnie myśliwską monografję słonki, nad która pracuję już od szeregu lat, zwracam się z serdeczną prośbą do wszystkich kolegów — wyznawców św. Huberta, aby mi nadesłali ciekawsze swoje obserwacje z życia tego tajemniczego ptaka, co do którego tyle zagadnień pozostaje ciągle niewyjaśnionych.

Proszę więc o jaknajwiększą ilość danych, dotyczących wymiarów i wagi słonek, ich rozprzestrzenienia (miejsc lęgowych), pory odlotu i przylotu, inteligencji, sposobu żerowania i rozmnażania się.

Prosiłbym jednak zwłaszcza o odpowiedź na następujące pytania:

1) Jakie zauważył Sz. Pan różnice między samcem a samiczką? (upierzenie? głos? lot?)

2) Jak odzywają się samczyki, a jak samiczki? (chrapanie? świst?). (Istnieje pod tym względem wielka rozbieżność obserwacji).

3) Czem tłomaczy Szan. Pan różnicę większych, jaśniejszych słonek, a mniejszych, ciemniejszych?

4) Czy samczyk bierze udział w wychowaniu piskląt i jaki?

5) Czy nie obserwował Pan przenoszenia przez słonkę młodych? jak przytem postępuje?

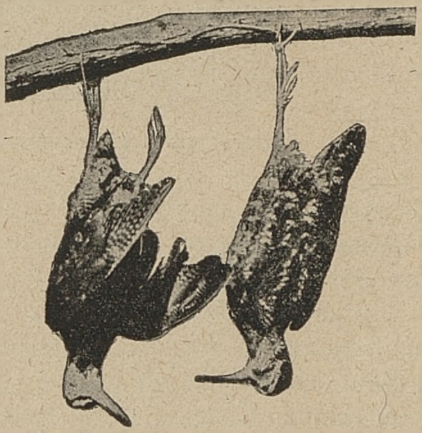
6) Czy słonka zdaniem Pana chrapiący głos wydaje dziobem, czy też — kuperkiem (jak to twierdzą szwedzcy obserwatorzy ostatnich czasów?)

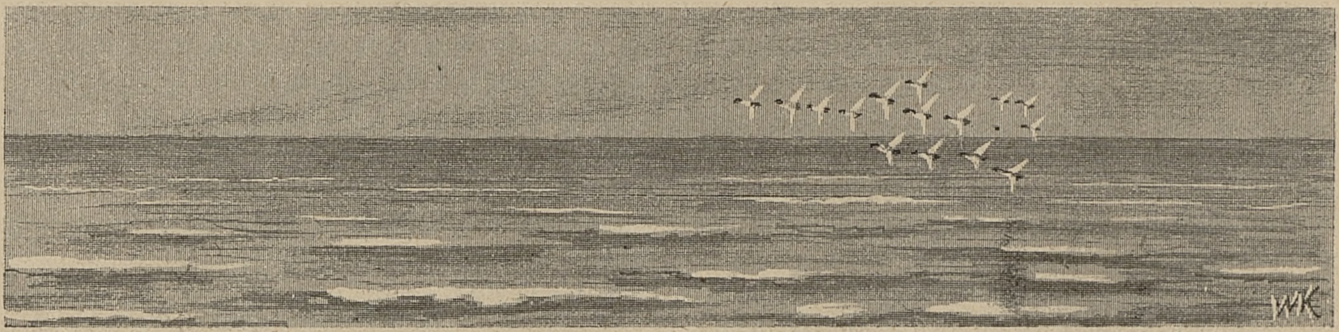
7) Czy próbował Szan. Pan oswoić słonkę i z jakim wynikiem?

Wszystkich Kolegów myśliwych serdecznie proszę o nadesłanie mi odpowiedzi na powyższe pytania do Redakcji (Warszawa, N. Świat 21) lub też do mego mieszkania prywatnego (Warszawa, Plac Trzech Krzyży 12, m. 3 a).

Szanowne Redakcje pism łowieckich, leśnictwa i rolniczych proszę uprzejmie o łaskawy przedruk.

Juljan Ejsmond.





PAROSTKI KOZŁA I ICH ZNACZENIE DLA ŁOWIECTWA.

(2)

Do pierwszego wydania „Parostków kozła“ dołączyłem podobizny zdjęte ze zbiorów własnych przed i po zmeljorowaniu rzeki Wełny. Stosunki pierwotne, w dolinie tej rzeki na Pałukach przypominały dzisiejsze błota Prypeci. To też stan z ówczesnego okresu zdobytych parostków, które odziedziczyłem po ojcu, odpowiadał z małymi wyjątkami tym, jakie obecnie jeszcze przynoszą nemrodzi ze wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. Od czasu uregulowania rzeki i wydrenowania pól ornych, rzecz zmieniła się radykalnie, zniknęły kwaśne trawy, a na łąkach i przyległych polach porosły koniczyny i inne pożywieniu sarn odpowiadające rośliny. Stan parostków zaczął się też zmieniać bezzwłocznie i trofea moje otrzymały kilkakrotnie na wystawach w Berlinie i w Poznaniu pierwsze nagrody.

Tłomaczy się ten objaw w sposób bardzo prosty. Jeżeli ciału zwierzęcemu dostarcza się za mało substancji produkcyjnych, wymagających ustawicznego uzupełnienia, natenczas następuje zastój w normalnym wzroście i zakłócenie w całym organiźmie. Zwierzęta źle odżywiane dają mało mleka, nie przybierają tłuszczu i cieleśnie słabo się rozwijają. Szczególnie chodzi tu o mineralne substancje pożywne, składające się z kwasu fosforowego, wapna i soli chemicznych, będące główną podstawą do tworzenia się silnych i zdrowych kościeni. Od ilości tych substancji mineralnych w paszy zawartych zależy trwałość, hartowność i odporność kości i zdrowie zwierząt.

Z braku mineralnych substancji pożywnych cierpią w pierwszej linji te części ciała, które najwięcej ich potrzebują. a temi są — kości. Zwierzęta wtedy chorują na rozmaite choroby kościenia, jako to: kruchość kości, angielską chorobę, obrzmienie stawów, nałóg lizania i obgryzania i przynoszą bardzo mało produkcyjnych korzyści.

Podobnie, choć z nie tak złemi skutkami, rzecz się ma z rozwojem ciała i tworzeniem się rogów u zwierząt dzikich, gdyż i u nich przyjmowanie paszy i karmy nie ma wyłącznie na celu napełnienia żołądka, lecz także dostarczanie ciału składników pożywnych, które absorbowane przez funkcje trawienia, zamieniają się na mięśnie, tłuszcz, kości i rogi.

Główny pożytek ze zwierzyny polega na mięsistości, porodzie potomstwa, oraz produkcji i zrzucaniu rogów. Ponieważ kości wszystkich zwierząt składają się w $^7/_8$ części z fosforanu wapna, popiół zaś z rogów nawet 90% tego składnika w sobie nie zawiera, jasnem jest, iż do budowy kościenia i produkcji rogów znacznych ilości kwasu fosforowego i wapna niezbędnie potrzeba.

Gdy tedy nasze zwierzęta domowe tak wiele fosforanu wapna potrzebują do samego utrzymania życia i produkcyjnych czynności, to zwierzęta dzikie muszą dwa lub trzy razy większe ilości tych pożywnych substancji mineralnych ciału swemu dostarczyć. Chociaż zwierzyna znajduje w oziminie, koniczynie, trawach pastewnych znaczne ilości kwasu fosforowego i wapna, to jednak w głównej części zadowolić się musi chudemi trawami leśnemi o małej zawartości wapna. Zwierzyna nie ma tak posilnej, wapno zawierającej paszy, jak domowe zwierzęta w stajniach i oborach. Zwierzęta domowe poimy wodą studzienną, żródlaną, zawierającą, jak wiadomo, dużo wapna, prócz innych nieraz soli. Zwierzęta dzikie natomiast zadowolić się muszą wodą z błotnych strumyków na kwaśnych łąkach, która jest bardzo uboga w składniki mineralne, a wapna zaledwie nikłe ślady w sobie zawiera.

Kwasu fosforowego i wapna potrzebuje zwierzyna nie tylko do utworzenia wieńcy, rozsochów i parostków, ale także,—prócz do tworzenia mięśni i kości, do absorbowania w połączeniu z białkiem w celach produkcji mleka dla swych młodych, oraz na utworzenie, wyżywienie i wykształcenie płodu.

Ponieważ paszę zwierzyny głównie stanowią leśne trawy i zioła, także trawa i siano sprzątane na kwaśnych i bagnistych leśnych i polnych łąkach ubogich w składniki wapienne, przeto naturalny ten dopływ wapna do organizmu jest niedostateczny w stosunku do celów produkcyjnych. Szczególnie można to zauważyć przy tworzeniu się i produkcji silnych i normalnych rogów, jeżeli brak

jest niezbędnej ilości mineralnych substancji pożywnych. Wiadomo bowiem, że trawy i rośliny pastewne rosnące na leśnym, kwaśnym gruncie i bagnistych sapach zawierają bardzo mało kwasu fosforowego i wapna. Ubogie są także w pierwiastki mineralne siana wyługowane deszczem lub powodziami, także kartofle, liście ćwiklane i t. p. Że także woda wapno zawierająca wpływa dodatnio na rozwój ciała i tworzenie się rogów, dowodzi różnica pomiędzy zwierzyną w górach, a zwierzyną w dolinach i nizinach. W lasach na górach wych objawia się głód wapienny nałogiem lizania i ogryzania ścian w budynkach, pożeraniem ziemnych i słonych substancji wapno zawierających, aby w ten sposób wapienny głód zaspokoić. Obryzają one korę niektórych drzew i krzewów, aby ciału dostarczyć wapna i kwasu fosforowego. Także przez spożywanie młodych pędów w kulturach leśnych stara się zwierzyna zastąpić brak wapna w zwykłej paszy, gdyż tak kora pewnych drzew (zwierzynie widocznie znanych), jak i pędy młode w zagajeniach, oraz młoda ozimina zawierają wiele



W czasie rui.

znajduje zwierzyna zwykle wodę obfitującą w wapno, a także i paszę o znacznie większej zawartości kwasu fosforowego i wapna; to też jest ona silniejszej i więcej siadłej budowy i ma wyrosłe i mocne rogi. W wodzie na bagnach, trzęsawiskach i kwaśnych łąkach brak wapna, wskutek tego w takich stronach żyjąca zwierzyna ma bardzo lichy wygląd i niewyrosłe słabe rogi.

Stały brak w pożywieniu składników mineralnych wyradza w zwierzynie chorobliwą skłonność, zwaną „głodem wapiennym". U zwierząt domomineralnych składników. Tak np. popiół kory sosnowej ma przeszło 50% wapna i 4% kwasu fosforowego. W korze 15—25 letnich dębów znajduje się w 100 częściach popiołu 72,62% wapna, i 4,32% kwasu fosforowego. Liście i pąkówki drzew liściastych zawierają w miesiącu maju na 100 części popiołu 24% wapna i 18% kwasu fosforowego. Kora dębowa obłupana z pni 20 letnich zawiera 3,77% chemicznie czystego popiołu (czyli węgla), 18,10% wapna i 2,75 kwasu fosforowego.

W tłustem sianie z gór znajduje się 40%

wapna i 4—5% kwasu fosforowego. Tłuste siano łąkowe ma 24% wapna i 16% kwasu fosforowego; gorsze natomiast siano ma tylko 8—10% wapna i 3—4% kwasu fosforowego. Różnica zatem pomiędzy dobrem sianem z gór, a sianem i trawą z lichych kwaśnych i bagnistych łąk wykazuje 29—32% samego wapna. Obfitość wapna w sianie z gór, a brak tegoż w lichem sianie z nizin tłomaczy nam różnicę w rozwoju ciała i tworzeniu się rogów pomiędzy zwierzętami żyjącemi w górach, i na równinach.

Koniczyna czerwona po okwitnięciu zawiera 24% wapna i 10% kwasu fosforowego, a w czasie puszczania pączków i kwitnienia 30% wapna i 10% kwasu fosforowego. Z innych paszy i materjałów pastewnych zawiera ćwikła 12% wapna i 5—7% kwasu fosforowego, w grochowinach jest 36,82% wapna, a 8.05 kwasu fosforowego.

Jak już wyżej powiedzieliśmy, ma obłubywanie kory przez zwierzynę z pewnych drzew leśnych i zjadanie młodych pędów — ten cel, aby ciału dostarczyć potrzebnej ilości wapna. Ogryzają korę nietylko samce w czasie tworzenia się rogów, ale i samice i to w każdym czasie.

W pierwszej połowie czasu tworzenia się rogów ogryzają jelenie korę o każdej porze dnia, aby zaspokoić wzmagający się głód wapna, podczas gdy ciężarne i karmiące łanie mniej się przyczyniają do wyrządzania tej szkody w lasach. Najwięcej szkody czynią zwierzęta młode podrastające, potrzeba im bowiem wiele wapna i kwasu fosforowego do wzmocnienia i utrwalenia kościenia. Po długiej suszy, a także podczas łagodnej, bezśnieżnej zimy ogryzanie większe przybiera rozmiary, gdyż pasza wskutek braku wilgoci w ziemi małe ilości wapna zawiera. Także po rzęsistych ciepłych deszczach, gdy trawa bujnie rośnie i jest wodnistą, wzmaga się ten t. zw. głód wapienny.

Okoliczność, że zwierzyna daje pierwszeństwo młodym pędom zasiewów i krzewów, tłomaczy się tem, iż takowe więcej obfitują w wapno i kwas fosforowy, niż rośliny wyrosłe i rozwinięte liście. W roślinach i liściach zmniejsza się zawartość wapna i kwasu fosforowego z dojrzewaniem owocu i ziarna.



Parostki perukowe.

Tutaj należy jeszcze powiedzieć, iż nie tylko w czasie ciężarności i tworzenia się rogów objadają samice i samce korę ale także i w innych porach roku; chociażby miały dostatek paszy. Czynią to zaś z innych powodów. Otóż w tej porze przekłada zwierzyna ponad wszelką inną żywność korę drzew i krzewów, które prócz fosforanu wapna pewne substancje gorzkie w sobie zawierają. Gorycz ta wpływa u zwierząt dodatnio na proces trawienia i podnieca apetyt. Otóż zwierzyna używa tej kory jako lekarstwa.

(*D. c. n.*). *Wł. Janta Połczyński.*

JASTRZĄB-GOŁĘBIARZ.

Monografja myśliwsko-przyrodnicza.

(3)

Instynkt samozachowawczy każe kuropatwom zmieniać miejsca postoju, gdy im już bardzo jastrząb dokuczy. Przenoszą się wtedy nocami w odległe okolice i salwują na jakiś czas życie. Nawet najedzony chwyta gołębiarz kuropatwy i bawi się niemi. W czasie swej służby wojskowej na Wołyniu, najechałem raz wozem na ogromnego gołębiarza. Zerwał się z przed koni, a wzniósłszy się w powietrze, pokazał trzymaną w szponach kuropatwę W promieniach słońca zobaczyłem wyraźnie jej podkowę. Wyglądała pod nim jak drobny ptaszek. Za chwilę udało mi się zbliżyć do rabusia i strzelić. Padł na śniegu, kuropatwę puścił. Leżała zupełnie żywa, ale jakby uśpiona. Poza małemi obrażeniami na grzbiecie, była zresztą nienaruszona i przyszła wnet do siebie. Przywiozłem ją do Ko-

wla, trzymałem do wiosny i puściłem wolno. Zastrzelony gołębiarz był starą samicą, co poznałem po nagiem podbrzuszu. Puch z niego poszedł zapewne na gniazdo, pod jaja i młode, aby im było miękko i ciepło i już więcej nie odrastał. W wolu tego jastrzębia znalazłem całego, zjedzonego gołębia. W tym wypadku złowił on kuropatwę dla samej pasji myśliwskiej i bawił się nią, jak kot myszą.

Zające cierpią również wiele od gołębiarza. Przed kilku laty, wyszedłszy raz w zimie w pole ze strzelbą, ruszyłem dużego zająca. Zaledwie ubiegł kilkaset kroków, gdy naraz zamajaczyło się coś dużego za nim. Zdawało się, że jakiś drugi zając kipiał za pierwszym. Był to jednak jastrząb. Widziałem, jak usiadł na zającu, jak poruszał skrzydłami, starając się utrzymać równowagę i jak uderzał dzióbem. Zając mknął szybko dalej... Piękny to był widok, ale zarazem i grozą przejmujący.

Puściłem się za tropem zająca i obserwowałem ślady muśnięć skrzydeł na śniegu, ale także tu i ówdzie rubinowe krople krwi. Farby przybywało, trop zająca stawał się krótszy i nierówny... Naraz znikli mi obaj zapaśnicy za poblizkiem wzgórzem. Przygotowałem się do strzału... Zaledwie zrobiłem kilka kroków po drugiej stronie wzniesienia, zarosłego w tem miejscu jałowcem, gdy prawie z pod nóg zerwał się gołębiarz. Strzeliłem na blizko i poszarpałem go w strzępy; zostały tylko skrzydła i nogi... Zając leżał już martwy, bez oczu, z dużą krwawą raną na głowie i z boku.

Młode zające cierpią wiele w czasie, gdy gołębiarz karmi swoje potomstwo.

Bażanta chwyta w locie, ale nie mogąc unieść go daleko, zapada z nim zaraz w ustronne miejsce i pożera; w bażantarniach czyni ogromne szkody, gdy się wnęci.

W braku większych ptaków lub ssaków rzuca się nawet na wróble i chwyta je z równą krogulcowi zręcznością.

Wśród gołębiarzy trafiają się specjaliści do jarząbków i cietrzewi. Stojąc raz na stanowisku na linji, widziałem, jak gołębiarz zapędził ruszonego jarząbka pod krzak jałowca i stamtąd go wydobył. Strzelić nie mogłem, bo były zapowiedziane w tym miocie dziki, a naganka właśnie ruszała. Prawdę powiedziawszy, wolałem mieć na rozkładzie gołębiarza, niż dzika. Cietrzewie dziesiątkuje w czasie śnieżnej zimy, gdy się skryć nie mogą.

Zrozumiałą jest śmiertelna trwoga u wszystkich stworzeń, które mają to nieszczęście, że się z nim spotykają oko w oko; gołębie i kury, chwytane, ale nie wzięte przez niego, siedzą długo strachem opętane, bez ruchu i czucia i dają się ująć rękami; przebyty strach pamiętają bardzo długo. Stare, silne kury, lub koguty uciekają z nim na grzbiecie do sieni i stodół. Opowiadano mi w pewnej wsi, że raz jastrząb wjechał na kogucie do sieni; gospodarz, przypadkowo obecny, zamknął spiesznie drzwi i zabił zuchwałego rabusia kijem. Jedną ofiarą nie zadowala się nigdy, lecz morduje wszystko, co może i ile może... Gdy znajdzie np. wronie gniazdo z młodemi, wyjada wszystkie za porządkiem.

Przy swojej żarłoczności i zuchwałości jest bardzo ostrożny i przebiegły i umie unicestwić wszystkie niebezpieczne dla siebie ludzkie zabiegi. Strzelca poznaje doskonale i omija go. Jedynym momentem, w którym można go podjechać lub podejść i ubić jest jego uczta: gdy je, odurza się krwią, traci zwykłą bystrość i wrodzoną ostrożność i łatwo zabić się daje.

Ucztującego jastrzębia nie należy jednak podchodzić wprost. Trzeba iść do niego z ukosa, na „kulawy sztych“ i patrzeć gdzieindziej. Siedzi wtedy bez ruchu i sądzi, że go się nie widzi. Dopiero, gdy się myśliwy z nim zrówna, może wykonać do niego pół zwrotu i strzelić.

Umie prawie zawsze zachować wobec strzelca przyzwoitą odległość. Polując raz nad stawem na kaczki, stanąłem przy brzegu i czekałem, aż nadciągną. Nadleciało stadko cyranek. Strzeliłem do jednej i zauważyłem, że poczęła zostawać w tyle za innemi i spadać powoli. Naraz dał się słyszeć jakiś szum w powietrzu. Patrzę i widzę, jak nadlatuje gołębiarz, dopędza i chwyta ranioną kaczkę tuż nad wodą i unosi na drugą stronę stawu.

Ani nie nadleciał na strzał, ani się podejść później nie dał. Musiał wiele w życiu doświadczyć!

Widywałem go często; przylatywał na strzały, porywał latające w zamieszaniu kaczki, ale nigdy podejść się nie dał...

Na podwórza wlatuje niespodzianie wtedy zazwyczaj, gdy nikogo w pobliżu niema; można czatować ze strzelbą bardzo długo, zawsze jednak daremnie, bo nie przyleci; skoro się jednak podwórze opuści, zjawia się, porywa kurczę lub gołębia i uchodzi. Zapewne czuwa gdzieś w pobliżu niewidzialny przez nikogo i obserwuje, co się na podwórzu dzieje.

Bywa niekiedy wybredny i umie wybierać najsmaczniejsze kąski: chętniej bierze kurczę, niż starą kurę, chętniej bije młodego zająca lub gołębia, niż stare sztuki. Czyni to jednak tylko wtedy, gdy znajdzie stół obficie zastawiony.

Trzymany w niewoli, nie znosi w klatce towarzystwa nawet swojej najbliższej rodziny; z pomiędzy kilku gołębiarzy zostaje ten przy życiu, który jest najsilniejszy; ten wszystkie inne zabija

i zjada. Objawy niewypowiedzianej nienawiści spotykają go też wszędzie, gdzie się tylko zjawi.

Wrony, które także wiele od niego cierpią, uderzają nań z prawdziwem bohaterstwem. Czynią to jednak tylko stare samce, bo młode wrony w towarzystwie gawronów i kawek uciekają, co sił w skrzydłach starczy, daleko przed nim w domniemanym kierunku jego lotu. Im też wiele stworzeń zawdzięcza swoje życie. Napastowany przez stare wrońce jastrząb, zajęty opędzaniem się, nie dostrzega czasem łupu; gołąb, czy kuropatwa, ostrzeżone w czas, mogą skryć się przed jego wzrokiem i pościgiem.

Bystre oko czujnego myśliwego dostrzega go wnet, lecącego szybko i tropiącego. Im bardziej głodny, tem szybciej leci, tem energiczniejsze i bardziej nerwowe są jego ruchy.

Gdy stare wrony mu towarzyszą, idzie mu polowanie z trudnością i z ujętym łupem niema się gdzie podziać w ich towarzystwie; wyszukuje wtedy zakryte miejsca między krzakami, zwykle kretowiska i tam spożywa zdobycz, a opędzając się atakującym go wronom, pozwala się łatwo podejść. Inne wrony, mniej śmiałe, a zwłaszcza sroki, siedzą wówczas w pewnem oddaleniu na wierzchołkach drzew i śledząc pilnie jedzącego jastrzębia, oczekują rychłego końca uczty, by się później rzucić na resztki biesiady.

Gniazdo zakłada zazwyczaj na wysokich, starych drzewach, najchętniej na dębach i brzozach wśród wysokopiennych lasów, w pobliżu pnia. Jest ono bardzo wielkie, dość płytkie, sklecone niezgrabnie z grubszych u dołu, a cieńszych u góry gałęzi. Legowisko wyściela mchem i puchem z własnego podbrzusza. Do gniazda powraca rokrocznie ta sama para i odnawia je. Parowanie następuje w drugiej połowie marca. Owdowiałe osobniki pozostają zwykle w miejscach, w których spotkała ich drugą połowę katastrofa życiowa i nie decydują się prędko na odprawienie nowych godów weselnych. — W kwietniu znosi samica 3—4 duże jaja; są one podłużne, w środku wypukłe, brzuchate, okryte twardą, chropawą skorupą zielonawego koloru z rzadkiemi brudno-żółtawemi plamami i wysiaduje je naprzemian z samcem z nadzwyczajną troskliwością; gniazda nie opuszcza nawet wtedy, gdy się do niego strzela i ginie. Młodych swoich bronią starzy zawzięcie, rzucając się napastnikowi do oczu i niebezpiecznie byłoby wybierać się do gniazda z gołemi rękami.

Młode gołębiarze rosną bardzo szybko, zjadając nieprawdopodobne ilości mięsa. Gniazdo zamienia się wnet po wykłuciu młodych w istne jatki: na niem i, pod niem na ziemi widzi się mnó-



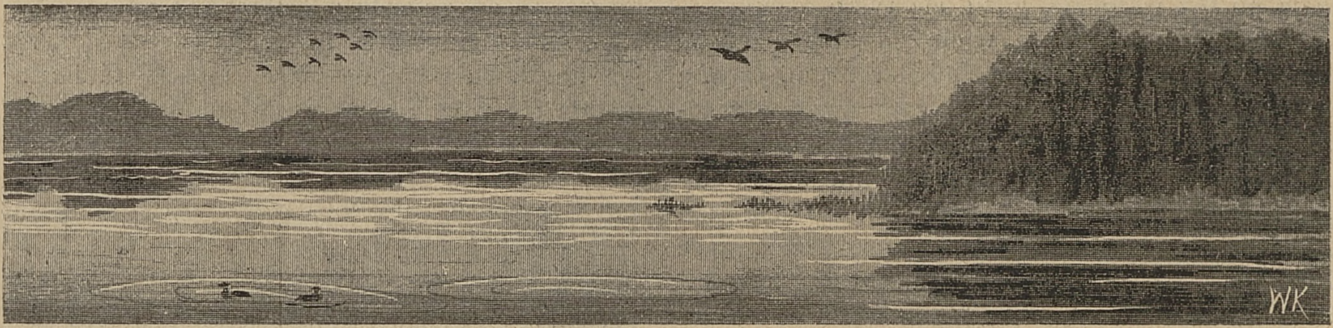
Gołębiarz.

stwo piór, sierci, kości, krwi... Biada myśliwemu, u którego w rewirze drapieżna para gniazdo swe uwije!... Żarłoczność młodzieży przechodzi wszelkie wyobrażenie; zdarza się, że starsze sztuki zjadają młodsze, niewyrośnięte rodzeństwo.

(D. c. n.).

Władysław Gürtler.





DZIKA GĘŚ.

(*Anser anser*).

2

W początkach maja rozpoczyna się u starych gęsi okres pierzenia się. Coraz mniejszą ilość ich można było obserwować na stawie. Około 15 maja zniknęły zupełnie z oczu, przebywając okres krytyczny w najbardziej niedostępnych i zarośniętych częściach stawu.

Na napotykanych i wiadomych gniazdach, samice siedziały tak twardo, że nieraz łódką można było do nich podjechać na kilka kroków i ptaki bynajmniej nie opuszczały jaj, ilość których bywała zwykle od 5 — 11 sztuk. Gniazda zakładane były zawsze na „spławach" — niedaleko czystej wody. Za materjał do gniazd służył najczęściej nałamany drobno „tatarak", usłany puchem i pierzem z piersiowych części gęsiego ciała.

Zwykle też po wierzchołkach tego zielska, jakby obciętych nożyczkami, można było rozpoznać miejsca pobytu par lęgowych.

Już w połowie czerwca gąsięta były dobrze podrośniętemi „klapaczami", z końcem zaś tego miesiąca podnosiły się już na skrzydła, równocześnie z wypierzonemi starkami.

Wtedy też rozpoczynało się na nie polowanie o świcie i wieczorem z podjazdu na łódkach, tak zwanych „płaskodonkach" — któremi można było przesuwać się po najpłytszych wodnych zakątkach, pomimo mnogich przeszkód w postaci „rizaków" — tak zwanej „raski", oraz splecionych korzeni lilij wodnych i innych wodnych roślin.

Upalną część dnia stadka spędzały wśród zarośniętych zaciszy stawowych. Przed wschodem i zachodem słońca dopiero — wysuwały się jak mary, „gęsiego", zwykle pod przewodnictwem rodziców, celem żerowania na czystych jeziorkach stawu.

Wypłynąwszy, z dyskretnem bardzo, stłumionem „gęganiem" — głośno ucztując, kąpały się, pluskały — ćwicząc się także w przelatywaniu coraz odleglejszych przestrzeni z jednej „helawy" (jeziorka) na drugą. Podjechać można było wówczas do żerujących stadek nieraz bardzo blizko, na jakie dwadzieścia, trzydzieści kroków. Spłoszone strasznym widokiem łodzi i straszniejszemi jeszcze na niej ludźmi — stadko salwowało się ucieczką, bijąc głośno o wodę skrzydłami i rozpraszając się po najbliższych szuwarach.

Można było natenczas z łatwością zdubletować z parę razy nawet. Łup bywał nieraz bardzo obfity, często jakie 3 — 4 sztuk wytrącało się z jednego stadka!

Dla mnie osobiście ten rodzaj strzelania starych i młodych nie posiadał najmniejszego uroku, gdyż nosił charakter rzeczywiście zbyt „kucharski"!

Po upływie jeszcze jakiego tygodnia, kiedy to lęgowe stadka „podejmowały" się już „serjo" na skrzydła i poczynały odbywać za żerem dalsze peregrynacje na okoliczne pola, powracając o zmierzchu na staw rodzinny, wtedy to dopiero zaliczyć można było chwile podobnych „nadlotów", do rzędu silnych łowieckich wzruszeń.

Lecz, wówczas, kiedy wywodowe gniazda poczynały się łączyć w większe partje, po sztuk 15 — 20, co zwykle miało miejsce w drugiej połowie lipca — następowały prawdziwie poważne przeżycia i emocje na tle zachodu letniego słońca.

Żerując noc całą na polach i stepach, nieraz bardzo odległych — stada pomiędzy 9 — 11 rano powracały na przestrzenie wodne, dla napicia się, wykąpania oraz snu odżywczego w jakiemś zaciszu aż do godz. 2 — 4, po której następował kolejny odlot z powrotem już o zachodzie.

Jeszcze, jakie parę tygodni później — prawie że cały kontyngens, wylęgłych na danym stawie gęsi — gromadził się w poważne już stado, złożone w „urodzajne" dla wywodu lata, z paruset i więcej sztuk.

Czasami dni kilka nie widać i nie słychać było ani jedej gąski! — Raptem pewnego wieczoru nadlatywało ich „multum“ srogie! — nie tylko „swoich“—lecz widocznie i z innych odległych okolicznych stawów — na których oczywiście się wylęgały!

Natenczas rozkosz prawdziwą odczuwało się polując na nie.

Ponieważ zwykle stada zapadały na jednych i tych samych ulubionych jeziorkach, o czystej (wolnej od wodorośli) wodzie, lub nawet czołowej części stawu — przylegającej do oczeretów, zarośli i pływających wysepek (spławów), więc kilka nieraz niezapomnianych, cudnych zachodów słonecznych zdarzało się spędzić na łódce śród szuwarów w szkarłatach i fjoletach seledynowo-różowych zórz!

Natomiast, co za chwile napięcia całego jestestwa, kiedy to, śród bajecznej ciszy upalnego dnia, w ukojeniu wieczornem, rozlega się charakterystyczne, słabe z początku gęganie o jakie parę kilometrów słyszeć się dające, a potem „nadciąga“ stado tych wspaniałych, ogromnyeh ptaków!

Leciały z hieratycznie wyciągniętemi szyjami owe tak estetyczne w mrokach zachodu gęsie sylwetki!

Było w tem coś z upalnego dalekiego Egiptu, coś z piramidy i sfinksów zamierzchłej kultury Faraonów! — żar pustyń bezbrzeżnych, okalających Deltę Nilu.

Młotem wali serce myśliwego! — żadnej już uwagi nie zwraca się na pękate kaczki, przeciągające prozaicznie nad samą głową nieraz!

Jeszcze chwil kilka — i rój cały przepysznych ptaków parę razy obleciawszy ulubione jeziorko — charakterystycznie „koziołkuje“ w powietrzu.

Niektóre już spadły na taflę czystej wody — z rozkoszą piją strugi od zorzy promieni żółto-opalowe — pluszcząc się w złotych jej kryształach!

Przy tej okazji można bardzo łatwo, załatwiwszy się szybko strzałem z najbliżej siedzącemi — „spuścić“—jedną i drugą z wyżyn powietrznych!— zrobić ładny dublet nawet! — gdyż nigdy odrazu wszystkie nie zapadną na wodę! Spłoszone, a nawykłe do danego jeziorka — parę razy obleciawszy—powracają i zasiadają napowrót!

Zdarzało mi się nieraz po 5 — 6 sztuk w ten sposób zdobywać jednego wieczoru. Jeśli się jeszcze do tego poluje we dwie łódki — na dwóch uczęszczanych przez gęsi jeziorkach — rezultaty mogą być jeszcze obfitsze — gdyż kilka razy „odsyła” się ptaki jeden drugiemu!

Zdobyte wtedy gęsi, mają wola naładowane młodym owsem, jęczmieniem lub grochem do niemożliwości!

Co za rozkosz — podnosić z wody — te tak rzadkie u nas ptaki! — z których niejedna stara sztuka dochodzi do 10 — 12 funtów wagi, — młode zaś od 4—6.

Zanikają jak sen, ciernie życia w chwilach podobnych! — Radość duszę zalewa, Piękno, Harmonja i rozkosz myśliwska, której niema nic równego...

(D. c. n.).

Adam hr. Rzewuski.



Polowanie na głuszce z bałwanami.

Nawiązując do ciekawego artykułu A. hr. Rzewuskiego o krwiożerczych (zdaniem Francuzów) głuszcach chciałem się podzielić z miłymi Czytelnikami wiadomościami o głuszcu pomieszczonemi w pomnikowem dziele łowieckiem współczesnej Francji w „La chasse moderne“ („Encyclopedie du Chasseur“) wydanem przez księgarnie Larousse'a w Paryżu. Dzieło wyszło pod redakcją głośnego hr. Clary, prezesa St. Hubert Club de France, o głuszcu zaś pisze w niem p. Leddet, „konserwator wód i lasów“.

Pisze zaś tak straszliwe brednie, iż niejednego z naszych myśliwych szczerze one ubawią.

Na bok odkładam przytem wszelkie poglądy

etyczne myśliwskie, gdyż pomiędzy polską a francuską etyką w dziedzinie łowiectwa zachodzi wielka różnica, zaś co kraj, to obyczaj. P. Leddet uważa więc za podstępne, ohydne morderstwo godne tylko kłusowników to, co stanowi dla nas najczarowniejszą poezję myśliwską: polowanie na głuszca pod pieśnią. Natomiast jedyne godne prawdziwego myśliwego strzelanie głuszców—zdaniem jego—jest strzelanie do nich z przed psa, co znów nasza etyka potępia.

Lecz, jak już powiedziałem, myśliwy polski nigdy nie pogodzi się zapewne z pojęciami etyki francuskiej. Etyka zresztą w stosunku do rodzaju polowań jest rzeczą względną i dyskusja na ten temat nie może dać przekonywujących wyników.

wszystkie obyczaje zwierzyny". Zgadzamy się z tem bez zastrzeżeń. Niewątpliwie zna je lepiej od p. Leddet. Nie ośmieszałby się napewno twierdzeniem, iż głuszec w czasie całej pieśni głuchnie i można go podchodzić bez wszelkich ostrożności, stając jedynie w czasie ciszy. Nie mówiłby też napewno o piekielnem „charivari" głuszcowej pieśni.

Mógłby ktoś nieświadomy przypuścić, że bezwzględne potępienie polowania „pod pieśnią" ma swe źródło w odrazie do strzału do ptaka siedzącego. Tymczasem — nic podobnego! Autor poleca łowy z małemi pieskami, które płoszą głuszce. Głuszec siada na drzewie zwracając całą uwagę na psa, myśliwy zaś strzela do siedzącego ptaka. Autor nazywa to „un beau coup de fusil", piękny strzał.



Wiosna. (Obraz St. Ejsmonda).

Natomiast fakty i obserwacje podane w omawianem dziele łowieckiem mogą podlegać rozpatrzeniu i krytyce bezwzględnej.

„W czasie gry wiosennej, zdaniem p. Leddet, koguty pozwalają się podejść z łatwością". Skoro zabrzmią ich przeraźliwe krzyki miłosne kłusownicy podchodzą je „bez żadnych ostrożności przez cały czas, który trwa piekielna wrzawa (l'infernal charivari) dzikiego ptaka. Potem zatrzymuje się (kłusownik) w przerwach ciszy" aż podejdzie dostatecznie do drzewa na którym „popełnia morderstwo nikczemne na zbyt nieostrożnym kochanku". („il assassine ignominieusement le trop imprudent amoureux").

Dodaje przytem p. Leddet: „Kłusownik zna

Lecz koroną wszystkiego jest zakończenie.

„W Niemczech, pisze p. Leddet, polują na głuszce... zapomocą wypchanych słomą samic które nazywają ... bałwanami" (dosłownie: „En Allemagne... on appelle balvannes"). Autor słyszał że dzwonią, lecz nie wie w którym kościele i... w jednym zdaniu popełnia aż dwa straszliwe błędy, dowodzące zupełnej ignorancji.

Nie, p. Leddet! Ani w Niemczech, ani w Polsce nikt nie poluje na głuszce z bałwanami...

Na to musiałby chyba Sz. Pana zaprosić na łowy.

Juljan Ejsmond.



DYLETANTYZM.

W jednym z numerów wychodzącej w Sosnowcu „Iskry“ niejaki p. Jędruszek tonem pełnym ironji i zjadliwości, oraz wysoce niefortunnych parafrazowań, czyni zarzuty Kołom, wzgl. Towarzystwom Myśliwskim, oraz tak zwanym niedzielnym myśliwym „sonntagsjaegerom“ i dopatruje się przyczyn znacznego ubytku zwierzyny jedynie (!) w polowaniach w niedzielę!

Bezpodstawność i nieracjonalność takiego rozumowania biją w oczy i nie można nad tego rodzaju zarzutami przejść biernie do porządku dziennego, nie udzieliwszy kilku słów odprawy.

Przedewszystkiem istotne i główne przyczyny ubytku zwierzyny leżą:

1) w skutkach wojny wszechświatowej i wrażej okupacji,

2) w sporadycznych kataklizmach atmosferycznych (np. bardzo ciężka, silnie mroźna zima zeszłoroczna, deszcze, powodzie, choroby etc.),

3) w słabych karach na kłusowników, które w nowej ustawie łowieckiej (w opracowaniu; ta ostatnia napewno już w krótkim czasie wejdzie w życie) miejmy nadzieję, zostaną znacznie obostrzone, a przytem czas ochrony zwierzyny, — jak mnie z miarodanych kół informują, — będzie odpowiednio przedłużony,

4) w zaniku odpowiednich, wielkich terenów łowieckich, częściowo przez systematyczne trzebieże przestrzeni leśnych, — tych ostoi wszelakiego zwierza, — częściowo przez kasowanie większych posiadłości ziemskich (czemu niestety będzie sprzyjać fatalnie wykoncypowana reforma rolna) i co, bez wątpienia, bardzo ujemnie odbije się na ogólnym zwierzostanie.

Wiadomo dobrze, że prawdziwie racjonalna hodowla zwierzyny może mieć miejsce tylko w dużych majątkach, tj. na terenach dworskich, — natomiast dzierżawcy chłopskich terenów, bez względu na rozmiar tych ostatnich, i choćby to byli ludzie jaknajlepszej woli i chęci, prawdziwi i zawodowi miłośnicy - hodowcy zwierzyny, nigdy nie będą w stanie, ze względów łatwo zrozumiałych, wykazać tak dodatnich rezultatów, jak posiadacze terenów dworskich, gdzie wszystkie warunki do rozmnoży i racjonalnego hodowania zwierzyny, są nader sprzyjające; a więc nadewszystko: stała obecność właściciela, środki materjalne, przejawiające się w odpowiedniem karmieniu zwierzyny, odświeżaniu krwi, odpowiedniej ochronie (stróże, polowi, oganiacze) etc. etc.

Rzecz prosta, że Towarzystwa, czy Koła Myśliwskie, mimo najszczerszej chęci, nie są w stanie sprostać i dorównać gospodarce na terenach dworskich, gdyż:

1) właściciele zbyt są oddaleni od danego terenu i czasem tylko tam zaglądają,

2) są za biedni i nie mogą czynić odpowiednio dużych niezbędnych nakładów,

3) warunki lokalne i ogólne na intensywną i prawdziwie wydajną gospodarkę łowiecką, nie pozwalają.

Wogóle cały artykuł niefortunnego autora, który w wysoce ironiczny sposób nazywa Tow. racjonalnego polowania, towarzystwami racjonalnego „wybijania“ — nie wytrzymuje najmniejszej krytyki, a szydzenie jego z Kół, czy Towarzystw myśliwskich nie licuje z godnością prawdziwego myśliwego. Skądinąd jasnem jest, że p. J. jest wrogiem wszelkich zrzeszeń, gdyż przeciw nim bezpodstawnie występuje.

Wszystkim dobrze wiadomo, że tylko zrzeszenia w myśl staro-łacińskiej maksymy „viribus unitis“ są jedynie racjonalnemi i ze wszech miar pożądanemi organizacjami, mogącemi skutecznie przeciwstawić się złu i intensywnie dla dobra sprawy, w danym wypadku, łowieckiej, pracować.

A teraz rzecz inna. Czy można brać za złe ludziom pracy, bądź urzędnikom, bądź innym ludziom wolnych zawodów, że polują w niedziele? Wszak tylko w te dni mają oni czas wolny. Płon-

ne są obawy autora, aby z tego powodu mogła zwierzyna wyginąć.

O ile chodzi o ścisłą genezę słowa „sonntagsjaeger“, którem p. J. w czambuł ochrzcił wszystkich tych, którzy w niedziele polują, — muszę wyjaśnić, że wyraz ten oznaczający w tłumaczeniu niedzielnego myśliwego, powstał w Niemczech, dla oznaczenia tych myśliwych, którzy nietylko, że polują w niedziele, lecz są fuszerami, pudlarzami; lecz wyrazem tym, w tak ujemnem jak tego gwałtem chce p. J., znaczeniu, — nie można bynajmniej nazywać tej kategorji nieraz bardzo dobrych myśliwych i zasłużonych hodowców, którzy jedynie z racji swej pracy zniewoleni są tylko w niedziele, jako w dni wolne od pracy, (czy w święta mniej uroczyste) polować. Do kontyngentu takich myśliwych należą częstokroć bądź urzędnicy, rekrutujący się z ludzi przeważnie inteligentnych, bądź też inteligenci różnych wolnych zawodów jako to: inżynierowie, dyrektorzy, doktorzy, etc. etc., którzy jako prawdziwi adepci Ś-go Huberta, godnie hołdują szlachetnej rozrywce i rycerskiemu sportowi, przekazanemu po rycerskich praojcach naszych.

Ironiczne i wysoce nietaktowne odzywanie się o tego rodzaju myśliwych, jedynie źle świadczy o niefortunnym autorze, który widać powodowany jakiemiś ukrytemi „arrières pensées“ ot tak sobie, nie mając co lepszego do roboty, skreślił poroniony elaborat.

Chełpi się p. J., że na dzierżawionym kiedyś przez niego terenie najwyżej 2—3 razy do roku polował. To była jedynie jego dobra wola i to nie jest bynajmniej dowodem, że częstsze polowanie prowadzi do upadku zwierzyny! Gdzie są odpowiednie zwierzostany, tam można często polować, bez najmniejszego dla zwierzyny uszczerbku, gdy racjonalnym odstrzałem i wogóle prawidłową gospodarką łowiecką, kieruje inteligentna ręka gospodarza-hodowcy.

Będąc w latach 1890—1901 posiadaczem dość dużego majątku w Piotrkowskiem, przeciętnie, w owe dobre lata zwierzostanu, miewałem od 25 do 30 stad kuropatw na dworskich polach, nie licząc pól chłopskich (ok. 300 morgów) z 10 do 12 stadami. Ponieważ przeciętnie w stadzie miewałem od 15 do 22 kuropatw, przeto na samym dworskim terenie miewałem średnio rocznie około 485 sztuk. Z tej ilości przez sezon odstrzeliwałem przeciętnie około 250 sztuk, polując, oczywista, bez ograniczenia dni. Tym sposobem pozostawiałem na rok następny do rozmnoży około 215 do 265 sztuk kuropatw i to przeważnie starek, do których z zasady żaden dobry myśliwy nie strzela.

Gdy więc członkowie Towarzystw, czy Kół łowieckich z musu ograniczają polowania tylko do niedzieli (czy świąt mniej uroczystych) to sądzę, że ta okoliczność, bez względu na to, że dzisiejsze zwierzostany nie mogą naturalnie iść w porównanie z dawniejszemi, oraz tereny chłopskie z dworskiemi,—nie może jednak w żadnym razie ujemnie zbyt wpłynąć na zwierzostan, wysoce zatem przesadzone są na tym punkcie obawy pana J.

Na zakończenie dodam, że z całego tonu przytoczonego artykułu pana J. wieje wielki obskurantyzm i dyletantyzm w sprawach łowieckich.

Daj Boże, aby Polska posiadała jaknajmniej ludzi, którzy jedynie zjadliwością i ironją chcą poprawiać rzekome błędy innych i w tem jedynie widzą sanację naszych stosunków.

Stefan Ostrowski.



Uwagi starego śledziennika.

Czyta się ciągle w sprawozdaniach z odbytych polowań, wzmianki, że „królem“ polowania został p. A. lub B. — gdyż miał na rozkładzie najwięcej ubitych zajęcy.

Według mnie, wynoszenie do „królestwa“ myśliwego, który ubił najwięcej zwierzyny, bez uwzględnienia ilości oddanych strzałów i zrobionych pudeł, jest zupełnie niesłuszne.

Bo że ktoś najwięcej na polowaniu ubił zwierzyny, nie zawsze jest jego wyłączną zasługą, gdyż mógł mieć lepsze stanowisko lub zwierzyna szczególnie dnia tego na niego ciągnęła, poprostu — jak to niemcy mówią — miał „Anlauf" (nie chcąc mówić „szczęście", którego to wyrazu myśliwi specjalnie nie lubią).

Miarodajną rzeczą jest, wiele sztuk ubił, wiele sztuk chybił (a co gorsze pokaleczył) i wiele strzałów oddał. — Jedynie z proporcji tych trzech liczb i najpomyślniejszego ich stosunku, da się ułożyć skala i miara dla uwidocznienia i dowiedzenia, kto najlepiej strzela.

Dajmy na to przykład: na 100 ubitych zajęcy, pan A. ubił wprawdzie 20, ale drugich tyle chybił i zużył np. 80 naboi — pan B. zaś ubił tylko 15 zajęcy, ale chybił tylko 2 czy 5 i zużył tylko 25 naboi. Według mnie, królem polowania powinien być obwołany nie pan A., lecz pan B., gdyż ten drugi stanowczo lepiej strzelał, mniej miał pudeł i mniej zużył amunicji.

A więc ostrożnie — Panowie Towarzysze — z elekcją „króla" — gdyż „królestwo" jego na bardzo kruchych spoczywa podstawach i rychło upaść może.

H. M.



W sprawie hodowli zwierzyny.

Chcąc w krótkim czasie rozmnożyć zwierzynę łowną, należy wytępić drapieżniki, kłusownictwo i wnykarstwo. Najlepsza miejscowość i dobre karmienie zwierzyny na nic, jeżeli będzie dużo drapieżników, a złodzieje zwierzyny bezkarnie grasować będą. — Polujących z bronią palną nie trudno złapać, bo strzałem się zdradzą, gorzej jest z wnykarzami, bo wnyki na sarny i zające zakładają najczęściej w gąszczach leśnych, a tam niełatwo je znaleźć. Pierwszego wnykarza pochwyciłem w Poznańskiem, w lasach hr. Bninskiego w Samostrzelu. W owym czasie sprzedano tam spory szmat lasu pewnemu kupcowi z Berlina, a ten nie tylko administrację, ale i robotników z Niemiec sprowadził. Jeden z tych robotników okazał się wnykarzem, lecz nie miał tam szczęścia, bo udało mi się wyśledzić go na gorącym uczynku, przy zakładaniu wnyków, za co siedział trzy miesiące w więzieniu, zapłacił koszty sądowe i z lasu został wydalony. Towarzystwo asekuracyjne wypłaciło mi za to 50 mrk. nagrody i opublikowało w gazecie myśliwskiej. W Niemczech było wtedy Towarzystwo, które za ujęcie złodzieja zwierzyny, straży leśnej, żandarmerji wypłacało pensje, a w razie nieszczęśliwego wypadku, o co w walce ze złodziejami zwierzyny nie trudno, poszkodowany — względnie jego rodzina — dostawali odszkodowanie. Okazało się to bardzo praktycznem, gdyż po kilku latach kradzież zwierzyny w Niemczech była rzadkością. Może by i w Polsce właściciele polowań coś podobnego założyli, i z pewnością dałoby to dobre wyniki, gdyż straż leśna — mając los swój i swoich zabezpieczony byłaby o wiele pilniejsza. Następnie pracowałem kilka lat w Klemensowie hr. Zamoyskiego i dłuższy czas na Ukrainie w Białej Cerkwi hr. Branickiej i Wierzchowni hr. Rzewuskiego. Wtych miejscach wnyków w lasach nie znajdywałem. Ale za to mieliśmy na Ukrainie dużo kłopotu z amatorami kuropatw, które bardzo sprytnie łowili w sidełka i więcierze (takie same jakich do łowienia ryb używają). Sidełka zakładali zwykle w swych — okopanych rowami i obsadzonych krzewami — ogrodach dokąd się kupopatwy w porze zimowej zlatywały, a więcierze stawiali na ozimych posiewach, gdzie stadka kuropatw wypatrzyli. W więcierze nasypywali trochę ziarna boki zaś obstawiali słomą. W ten sposób bardzo prędko całe stadko złowili. Walka była trudna, możliwa tylko przy pomocy

policji, nota bene, jeżeli to się działo w porze zakazanej, ponieważ urządzali to na własnych polach, nie wypuszczonych w dzierżawę.

Tępić drapieżniki potrzeba wszelkimi możliwemi sposobami. Oprócz strzelby — łowić w skrzynki, żelaza, za pomocą psów jamników, puhacza, a jeżeli to nie prędko działa — także za pomocą znanego myśliwym białego proszku. Tchórze, łasice, koty, psy nie trudno wyłowić w skrzynki; kuna jest ostrożniejsza, a lisa dotąd tylko jednego w skrzynkę złowiłem. Dwunożne drapieżniki, a najniebezpieczniejszy z nich jastrząb gołębiarz, da się łatwo unieszkodliwić — czy to za pomocą puhacza, czy też w sieci jakich dawniej używano, klatki druciane, kosze z żelazami i małe żelazka, które stawia się tam, gdzie się jaką szkodę znalazło, z kawałkiem mięsa na przynętę.

Do jak ładnych rezultatów w krótkim czasie dojść można, gdy się drapieżniki wyniszczy, miałem możność przekonać się z własnej praktyki. Pracowałem na Ukrainie w warunkach bardzo ciężkich. Przyjechawszy do Białej Cerkwi, gdzie miałem się zająć hodowlą bażantów i to z jaj przywiezionych z zagranicy, gdyż ani na miejscu, ani w sąsiedztwie bażantów nie było, pierwszem mojem zadaniem była walka z drapieżnikami. A było ich tam mnóstwo ponieważ nikt ich nie prześladował. Na lisy urządzano wprawdzie w jesieni polowania z psami, na sposób angielski, ale widocznie wielkiej krzywdy im nie robiono, gdy ja sam w ciągu pierwszego roku sprzątnąłem dwadzieścia siedem starych lisów i wykopałem kilka gniazd młodych.

(dok. nast.) *M. Hoinka.*

Nieborów, w styczniu 1925.



d połowy lutego mamy na placu Trzech Krzyży widowisko w mieście dość niepowszednie. Oto codziennie prawie, przed zachodem słońca, para drapieżników wyprawia przedziwne napowietrzne harce, szerząc wśród wróblich rzesz popłoch niesłychany. Pierwsze pojawienie się owych przybyszów zgromadziło tłumy widzów przypatrujących się z ciekawością bajecznie zwinnym ptakom, które błyskawicznym ruchem w lot chwytając wróble unosiły swą zdobycz na najbliższe dachy, lub wieże kościelne. Przy każdem ukazaniu się któregoś z napastników podnosiła się szalona wrzawa i gwizd w rozbawionej gromadzie chłopaków, płoszących rabusia waleniem co sił kijami w żelazne osłony ubikacji na skwerku umieszczonych. Niespodziewany ten atak wywoływał łatwo zrozumiałe zamieszanie i komiczne incydenty wśród przygodnych gości.

Rozzuchwalone natomiast ptaki niewiele z hałasu sobie robiły ze zdwojoną zaciekłością ścigając wystraszone wróble.

Stojąc przy oknie obserwowałam przez lornetkę zachowanie się drapieżników. Początkowo trudno było ustalić czy to „sokoły wędrowne", czy też odmianę jastrzębia „Krogulcem" zwanego mamy przed sobą. Z uwagą śledziłam zwinne ruchy ptaków śmigających w powietrzu lotem strzały, nagłe ich zwroty przy zmianie kierunku, nawet sylweta ciemna, ostro rysująca się na tle nieba czyniły je dziwnie podobnemi do sokołów.

Niezwykła jednak łapczywość, z jaką drobne ptaszki łowiły, wskazywała, że to krogulce być muszą, sokoły bowiem gardzą tak poślednią zdobyczą.

Gdy się już dobrze ściemniać zaczęło jeden z drapieżników zasiadł na skraju dachu kościelnego, jakby na urągowisko, — wprost mego okna!

Ogarnęło mnie nagle dziwne uczucie. Stałam długą chwilę jak urzeczona. Napływały falą wspomnienia ongi przeżytych łowieckich rozkoszy. Polowania z puhaczem.

Pełne uroku wiosenne i jesienne przeloty. Napięcie nerwów z jakiem myśliwy wyczekuje pojawienia się, z dalekich krain, ciągnących w nasze strony skrzydlatych wędrowców.

Cały ten splot wrażeń związanych z tak niedawną jeszcze przeszłością, jakże jaskrawo mi uwydatnił kontrast chwili obecnej, gdy okrutnem losu zrządzeniem od roku przeszło trapiona chorobą, świat boży tylko z okna oglądam.

Tak drobny pozornie epizod, jak pojawienie się marnego jastrzębia, wskrzesił boleśnie w mojej pamięci minione wspomnienia myśliwskie...

Marja Ejsmondowa.